

## "Laluś" wytrwał najdłużej

W Piaskach pod Lublinem odsłonięto pomnik ostatniego z "żołnierzy wyklętych"

Rok 1963. Zbrojne podziemie antykomunistyczne w Polsce nie istnieje w zasadzie już od 10 lat. Padli lub zostali pojmani ostatni "żołnierze wyklęci" - w marcu 1957 r. ppor. Stanisław Marchewka "Ryba", ostatni na Białostocczyźnie, w lutym 1959 r. Michał Krupa "Wierzbą", a 30 grudnia 1961 r. w powiecie biłgorajskim Andrzej Kiszka "Dąb". Na szczególnie nasyconej oddziałami antykomunistycznymi Lubelszczyźnie wspaniali dowódcy, postacie barwne niczym pułkownicy z "Trylogii" Henryka Sienkiewicza, jak "Zapora", "Uskok", "Orlik", "Zagończyk", "Jastrząb", "Żelazny", "Wiktor" i inni pożegnali się z życiem do połowy lat 50. Ich ciała często zbeszczeszczone, pozbawione głów spoczęły zakopane gdzieś w bezimiennych mogiłach, podobnie jak tysiący innych żołnierzy Polski Podziemnej.

Skazani w haniebnych procesach politycznych żołnierze AK, NSZ, WiN jeśli przeżyli, w większości powrócili już z więzień do domów, podobnie jak ci zesłani bez żadnych wyroków do sowieckich łagrów. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zdążył już zmienić nazwę na Służbę Bezpieczeństwa, a KBW na ZOMO. Komuniści po obłudnym potępieniu "okresu błędów i wypaczeń" i tzw. odwilży znowu zaczęli "przykręcać śrubę", sami pograżając się w kolejne walki frakcyjne między "żydami" a "chamami"...

A tymczasem w odległości ok. 20 km na wschód od Lublina, jakby na przekór umacniającej się totalitarnej dyktaturze i wszechobecnej bezpiece, ukrywał się człowiek stanowiący żywe potwierdzenie, że "jeszcze Polska nie zginęła" - Józef Franczak ps. "Laluś", ostatni żołnierz Polski Podziemnej. Wytrwał do października 1963 roku. Zginął w walce w wieku 45 lat wydany przez swojego bliskiego znajomego, tajnego współpracownika SB ps. "Michał" i zastrzelony przez oddział specjalny resortu bezpieczeństwa. Dziś Józefowi Franczakowi, przez dziesięciolecia traktowanemu przez oficjalną propagandę jak bandyta, stawia się pomniki.

W piątek, 11 maja, w Piaskach k. Lublina po Mszy Świętej z wojskowymi honorami, Apelem Poległych, salwą honorową, przemarszem główną ulicą miasta pocztów sztandarowych organizacji kombatanckich,

społecznych oraz szkół nastąpiło uroczyste odsłonięcie i poświęcenie okazałego pomnika ku czci ostatniego partyzanta.

Budowa pomnika napotkała na liczne trudności, choć odbywała się pod patronatem honorowym prezydenta RP prof. Lecha Kaczyńskiego i Wojciecha Żukowskiego, wojewody lubelskiego, a w Komitecie Honorowym znaleźli się m.in.: ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, marszałkowie Sejmu i Senatu, prezes IPN, kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Sierżant Józef Franczak nie był bandytą ani żadnym krwi desperatem, jak niektórzy chcieliby go widzieć. Po prostu walcząc o wolną Polskę, znalazł się w sytuacji bez wyjścia, a był zbyt inteligentny, odważny, odporny psychicznie, sprawny w wojskowym rzemiośle i szanowany przez swoje środowisko, by przez blisko 20 lat dać się komunistom zabić.

### Nowa okupacja

Szlak bojowy Józefa Franczaka rozpoczął się od kampanii wrześniowej i trwał bez mała ćwierć wieku. Był zawodowym żołnierzem w stopniu sierżanta. Ukończył Szkołę Podoficerów Żandarmerii w Grudziądzu. W 1939 r. służył w Równem. Po zdradzieckiej inwazji ZSRS na Polskę 17 września dostał się do sowieckiej niewoli. Nie dał się pogać na "białe niedźwiedzie". Zbiegł z transportu na Wschód, a po powrocie w rodzinne strony od razu zaczął konspirować. Później w szeregach ZWZ i AK dowodził najpierw drużyną, potem plutonem.

Po wejściu wojsk sowieckich wcielony do 2. Armii Wojska Polskiego został skierowany do Kąkolewnicy, gdzie mieścił się sąd wojskowy, a w pobliżu - obóz NKWD. Wyłapywanych żołnierzy AK mordowano w pobliskim lesie - na Uroczysku Baran. Tam Józef Franczak pozbył się wszelkich złudzeń co do sowieckiego "wyzwolenia" Polski, które okazało się nową, dla podziemia niepodległościowego znacznie krwawszą niż niemiecka okupacją.

W styczniu 1945 r. ucieka z wojska. Zaszywa się w Łodzi, przez pewien czas przebywa w Sopocie. Nie ocenia zbyt wysoko szans walki z sowieckim reżimem w Polsce, gdyż początkowo zamierza przedostać się drogą morską do Szwecji. Wyczuwa, że jest śledzony, więc rezygnuje, wraca w rodzinne strony i wiosną 1946 r. rozpoczyna partyzanckie życie. Trafia pod dowództwo cichociemnego, legendarnego mjr. Hieronima Dekutowskiego "Zapory". W początkowym okresie współpracuje z oddziałem ppor. Antoniego Kopaczewskiego "Lwa", należącym do zgrupowania "Zapory" i działającym w powiatach chełmskim, krasnostawskim i lubelskim.

Wtedy to, wedle Wacława Szaconia ps. "Czarny", młodszego od Franczaka o 8 lat towarzysza broni i przyjaciela, pojawił się pseudonim Franczaka - "Laluś". Istnieje wiele wersji pochodzenia tego

niecodziennego pseudonimu.

- Znałem Józka od 1942 r., kiedy po przysiędze przeprowadzał ze mną szkolenie wywiadowcze - opowiada Wacław Szacoń. - Kiedyś przychodzimy do oddziału Antka Kopaczewskiego "Lwa", a oni mówią: "O, lalusie przyszli". A chodziło im o to, że my chodziliśmy ubrani po cywilnemu, a oni w mundury. Tak nas zaczęto nazywać. Potem, kiedy skontaktowałem Franczaka ze Zdzisławem Brońskim "Uskokiem", to przedstawiałem go już jako "Lalusia" i tak zostało.

Nie ma mocnych na "Lalusia"

W czerwcu 1946 r. Franczak, posługujący się w tym czasie lewymi papierami, zostaje przypadkowo aresztowany wraz z kilkoma kolegami z konspiracji przez grupę operacyjną UB z Lublina polującą na oddział "Lwa". Nie dają się dowieźć do ubeckich piwnic w Lublinie. Ich ucieczkę z konwoju bezpieki przypłaca życiem czterech funkcjonariuszy. Tego samego lata opanowanie i sprawność bojowa "Lalusia" znów ratuje mu życie. Do jego kwatery we wsi Bojanica wchodzi milicja. Według relacji świadków, pierwszym strzałem Franczak gasi światło, a dwoma kolejnymi powala napastników. Jego akta, skrzętnie prowadzone w ubeckich archiwach, rosna.

W maju 1948 r., kiedy patrol "Lalusia" wpada w zasadzkę koło wsi Cyganka, w walce ginie dwóch jego podkomendnych, a dwaj inni są ranni. Franczak, któremu udaje się wymknąć obławie, od tego czasu ukrywa się sam. Jedynie na akcje zbrojne skrzykuje się z innymi partyzantami, głównie z grupą Stanisława Kuchcewicza "Wiktora".

Przed wigilią 1948 r. zaopatrującego się w sklepie w Wygnanowicach "Lalusia" znów zaskakuje milicja. I ponownie wydostaje się z otoczonego budynku, wyrabując sobie bronią drogę do lasu.

"Wypadł na ubejców przez drzwi i dał ognia, po czym rzucił się do ucieczki, jeden z ubejców został ciężko ranny (później zmarł), a "Laluś" dostał postrzał po brzuchu. Kula jednak nie poszła głęboko, nie uszkodziła jelit" - relacjonuje w swoim "Pamiętniku" dowódca Franczaka Zdzisław Broński "Uskok".

Franczaka wyleczył zasłużony dla podziemia niepodległościowego lekarz Albin Spoz z Piask. "Uskok" pół roku później osaczony w bunkrze na terenie gospodarstwa Lisowskich w Dąbrówce (obecnie Nowogrodzic) wysadził się granatem.

W swojej samotnej walce "Laluś" nie ogranicza się do obrony i ucieczek. Wraz z innymi żołnierzami podziemia antykomunistycznego wykonuje wyroki na najbardziej aktywnych i bezwzględnych "utrwalaczach władzy ludowej" i konfidentach, rekwiruje środki potrzebne do życia i walki. Gdy komuniści ogłaszają kolejne pseudoamnestie, "Laluś" się nie ujawnia. Nie ma złudzeń, wie, na co może liczyć od nieznających pojęć: "honor" i "słowo oficcerskie", komunistów.

Zginał w walce, jak żył

Z czasem wokół ukrywającego się "Lalusia" zacieśnia się krąg konfidentów. Bezpieka jakby postawiła sobie za punkt honoru likwidację ostatniego z żołnierzy wyklętych. W ramach rozpracowania operacyjnego pod kryptonimem "Pożar" wprowadzono do środowiska związanego z Franczakiem kilkudziesięciu tajnych współpracowników, zastosowano najnowocześniejsze jak na owe czasy środki operacyjne, jak np. aparat podsłuchowo-nadawczy "Liliput".

Wreszcie rankiem 21 października 1963 r. lubelskie UB dostało wiadomość, na którą czekało 18 lat. Stanisław Mazur, tajny współpracownik o pseudonimie "Michał" przekazał numer rejestracyjny motocykla, na którym dzień wcześniej widział Franczaka, a także miejscowość i nazwisko gospodarza, u którego partyzant prawdopodobnie się ukrywał. Ustalenie personaliów i adresu właściciela motocykla nie zajęło lubelskiej bezpiece dużo czasu. Zgadzało się z adresem ustalonym przez kapusia. W stronę oddalonej o dwadzieścia kilka kilometrów od Lublina wsi Majdan Kozic Górnych natychmiast ruszyła grupa operacyjna ZOMO i SB. Dwóch tajniaków podprowadziło doborowy oddział 35 zomowców bezpośrednio pod zabudowania Wacława Becia, gdzie przebywał "Lalek". Partyzant wyszedł z okrażonego domostwa o godz. 15.45 i udając gospodarza, z grabiami na ramieniu usiłował przekroczyć linię okrażenia. Wezwany do zatrzymania się, błyskawicznie wyciągnął pistolet i ostrzeliwując się, wśród gradu kul rozpoczął ostatnią w życiu ucieczkę. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie wybuchały rzucane przez niego granaty, jakby je ktoś wcześniej rozbroił. Umiejętnie wykorzystując zabudowany wiejski teren i luki w obławie, "Lalek" uciekał jeszcze ok. 300 metrów, zanim nie ścięła go seria z karabinu maszynowego. Według ubeckiego raportu, umierał ok. 2 minut.

Fenomen Józefa Franczaka

- Ukrywał się dosłownie pod bokiem całej wojewódzkiej i powiatowej struktury lubelskiej bezpieki dzięki pomocy ok. 200 wiejskich gospodarstw - powiedział w czasie uroczystości odsłonięcia pomnika ostatniego partyzanta RP doc. Zbigniew Boczkowski, prezes Środkowowschodniego Obszaru WiN. - Jeżeli to nie byłby człowiek szlachetny, jeżeli byłby "bandytą", tak jak oni nazywali nas wszystkich, to z pewnością nie utrzymałby się tak długo.

Wacław Szacoń podkreśla, że po dezercji Franczaka z armii Świerczewskiego i po powrocie w rodzinne strony współpracowali bardzo ściśle.

- Przeprowadziliśmy wiele wspólnych akcji, były pozakładane skrzynki kontaktowe, które pozostały do dzisiaj... - kombatant znacząco zawiesza głos. - Po moim aresztowaniu wszystkie pozostały nietknięte i on z nich korzystał - dodaje.

- Jakim był człowiekiem? - zastawia się Wacław Szacoń. - Zdecydowanym. To był zawodowy żołnierz, podoficer żandarmerii i do tego współpracownik "dwójki", tzn. drugiego oddziału czyli defensywy. Do

wywiadu czy do żandarmerii nie brali pierwszego lepszego, tylko ludzi zdrowych i psychicznie mocnych. Był człowiekiem bardzo spokojnym, opanowanym. Do niczego nie podchodził żywiołowo, bez przygotowania.

- Więcej niż średniego wzrostu, mocno zbudowany, zdrowy jak koń - charakteryzuje "Lalusia" Jan Łuc ps. "Zenek", żołnierz z grupy "Żelaznego", "Wiktora", towarzysz broni Franczaka. - Gdy byliśmy w lesie, zjadał jedno jajko na dzień i to mu wystarczało.

Jan Łuc również podkreśla, że "Laluś" był znany z opanowania i zimnej krwi. Umiał wychodzić z trudnych sytuacji. Tak było, gdy kiedyś na grzybach w lesie spotkał dwóch ubeków. Poznał ich, a oni jego, lecz obie strony udały, że się nie znają. Z odbezpieczonym pistoletem nawet ich zagadnął, czy są grzyby...

"Zenek" wspomina, że innym razem "Laluś" był sklepie w Zasioce, gdy weszło pięciu ubeków. Bez zmruczenia oka zamówił postronki, zapłacił, zarzucił na ramię i przeszedł między nimi.

- Nawet gdyby ich było dziesięciu, on by się nie bał i nie zawahał - mówi z przekonaniem Łuc. - Był zawsze uzbrojony, typowo wojskowy człowiek. I wiedział, jak się ukrywać, aby nie narażać ludzi.

Jan Łuc chwilę zastanawia się przed odpowiedzią na pytanie, dlaczego "Lalkowi" tak długo udawało się ukrywać przed bezpieką. - On miał chody i zaufanie u ludzi. Nikt nie miał tak wielkiego szacunku i zaufania u ludzi jak "Laluś" - stwierdza.

Łuc po wyjściu z więzienia spotkał się z "Lalkiem" tylko raz. - To było przypadkowe spotkanie, chyba w 1962 r. w Mełgwi. Jechałem do Lublina, a on był na stacji. Nie wiedział, że wyszedłem z więzienia. Nie staliśmy długo, żeby ludzie nie widzieli. Obiecał, że na sto procent mnie odwiedzi. Ale nie przyjechał.

- Po moim wyjściu z więzienia z miejsca mnie odwiedził - mówi Waclaw Szacoń, skazany w 1949 r. na czterokrotną karę śmierci, zamienioną przez Bieruta na dożywocie - w komunistycznych więzieniach spędził 8 lat. - I aż do jego śmierci kontaktowaliśmy się przeciętnie dwa razy do roku. Znał moją żonę i dzieci. Ostatni raz widziałem się z nim dwa miesiące przed jego śmiercią. Umówiliśmy się na Wszystkich Świętych. Ale wcześniej dostałem telefon, bo ja mieszkałem w Krakowie, że Józek nie żyje - po tych słowach kombatanowi załamuje się głos.

Niewygodny symbol

Ciało Józefa Franczaka "reso rt" zabrał do Lublina. "Laluś" został pochowany jak setki innych ofiar hitlerowskiego i komunistycznego terroru na cmentarzu przy ul. Unickiej. Zgodnie z ponurym ubeckim zwyczajem, w mogile spoczął nago i bez głowy.

Po dwudziestu latach siostrom Franczaka Czesławie i Celinie udaje się zdobyć pozwolenia na ekshumację zwłok brata. Grabarze odkopali i włożyli kości "Lalusia" w przywieziony przez siostry worek. Pamiętają, że nie było czaszki. Transport doczesnych szczątków "Lalusia" odbył się podmiejskim pekaesem na kolanach siostr! Pochowały go na cmentarzu w Piaskach.

- Swojego ojca nie pamiętam, gdyż zginął, gdy miałem zaledwie 5 lat - mówił w czasie uroczystości

odsłonięcia przy głównej ulicy Piask pomnika ostatniego partyzanta Rzeczypospolitej wzruszony Marek Franczak, który prawo do noszenia nazwiska ojca wywalczył dopiero w 1992 roku. Ukrywający się "Laluś" nie pokazywał się dziecku, aby nie narazić swojej narzeczonej Danuty Mazur i syna na ubeckie represje. - Pamiętam tylko ręce ojca wystające z kupki zboża w polu i oddalającą się później jego postać. Jako syn "bandyty" przeżyłem wiele upokorzeń i stresów. Gdy dorastałem, a moja matka i rodzina ojca opowiadali mi o ojcu pochowanym przez swoich oprawców w bezimiennej mogile bez głowy, nie potrafiłem tego zrozumieć. Ale teraz wiem, że to oprawcy mojego ojca legli w gruzach pohańbienia, a on wraca jako symbol umiłowania prawdy i wolności nawet za cenę życia.

Jednak nie wszystkim spodobał się powrót Józefa Franczaka, postrachu ubeków, aktywistów partyjnych, utrwalaczy władzy ludowej, na centralną ulicę Piask. Inicjatywa budowy pomnika podjęta rok temu przez lubelskich kombatanów WiN i AK napotkała na duży sprzeciw środowisk związanych z byłą komunistyczną władzą. Radni poprzedniej kadencji najpierw udzielili zgody na budowę pomnika, potem odwołali tę decyzję. Dopiero wybrana w jesiennych wyborach rada gminy ponownie uchwaliła decyzję o lokalizacji pomnika. Przeciwno temu głośno protestował też pewien człowiek podający się za syna zastrzelonego przez "Lalusia" ormowca, który groził samospaleniem w czasie uroczystości odsłonięcia monumentu. Okazało się, że zastrzelony ormowiec wcześniej otrzymał od podziemia niepodległościowego kilkakrotne ostrzeżenia, a protestujący mężczyzna okazał się byłym pracownikiem SB z ponad 20-letnim stażem. Przyznał później, że formułowane przez niego groźby to blef.

Jednak blefem nie był dokonany w nocy z 6 na 7 maja, a więc na kilka dni przed planowaną uroczystością odsłonięcia pomnika, napad rabunkowy na Danutę Mazur, obłożnie chorą 78-letnią członkinię Związku Żołnierzy Armii Krajowej, konspiracyjną narzeczoną Józefa Franczaka i matkę jego syna. "Nieznany" sprawca w kominiarce, po telefonicznym upewnieniu się, że staruszka jest sama, wyważył drzwi i odebrał kobiecie trzymane pod poduszką niewielkie oszczędności. Czy to przypadek, że w nad wyraz spokojnej okolicy dokonano - jak twierdzi policja - pierwszego od wielu lat napadu rabunkowego akurat na tę osobę? Policja prowadzi czynności mające na celu ustalenie sprawców napadu i na razie przyjmuje rabunkowy motyw przestępstwa.

Wydaje się, że organa ścigania będą miały więcej roboty, gdyż bezpośrednio po montażu pomnika w Piaskach, w nocy z 9 na 10 maja "nieznani" sprawcy dokonali włamania do kiosku znajdującego się po drugiej stronie ulicy, przy której stanął pomnik. Nazajutrz miasteczko obiegła wieść, że miejscowa policja będzie teraz pilnować tylko pomnika, a zapomni o reszcie miasta.

- Cóż, środowiska postubeckie w naszych okolicach są jeszcze dość silne, dlatego trudno oczekiwać, że na tym się skończy - mówi z z troską jeden z kombatanów.

- Zgromadziliśmy się tutaj i chcemy złożyć hołd ostatniemu partyzantowi Rzeczypospolitej, a w jego osobie

również wszystkim żołnierzom konspiracji, którzy walczyli o niepodległą i suwerenną Ojczyznę. Chcemy im dzisiaj powiedzieć, że ich przelana krew nie poszła na marne - mówił pod pomnikiem prezes Boczkowski. - Słowa te kieruję do tak licznie przybyłej młodzieży. Wy jesteście naszą nadzieją.

Tekst i zdjęcia Adam Kruczek